ROZMAITOŚCI.

Dnia 2 stycznia, N.^{ver} 1. roku 1847.

ZŁOWROGIE PTAKI.

»Niech cię Bóg błogosławi, niech cię wszyscy święci aniołowie prowadzą, moje dziécię!» — rzekła ze łzami pani Vansittart, poważna matrona, do pięknéj, młodéj Emy, wyprowadziwszy ją na pokład okrętu „*Kondor*,” stojącego na kotwicy w zatoce, poblizkiéj przylądku »Dobréj nadziei.”

»Matko! matko!” — zawołała dziewica w ramionach staréj niewiasty, a strumień łez gorących, zalał dalsze jéj słowa.

»»Opuścisz ojca i matkę, a pójdziesz za swoim mężem.»— Oto, moja droga córko, głos natury, odbrzmiewający w słowach pisma św.” — ozwała się matrona ocierając łzy z oczu. „I jamteż opuściła niegdyś ojca i matkę i poszłam za moim mężem, daleko przez burzliwe morze, poszlam w kraj nieznany. Pełniłam tam wiernie obowiązki, jakie przeznaczeniem mojém były, i czułam się szczęśliwą w ramionach twojego ojca, który już dziś jest u Boga, a którego błogosławieństwo, wraz z mojém, towarzyszyć ci będzie przez morza i lądy, aż staniesz szczęśliwie na miejscu, gdzie nowy zawód cię oczekuje.”

Majtkowie stali już wpogotowiu przy linie kotwicznéj, kapitan okrętu *Kondor*, mężczyzna z surowém wejrzeniem, miał już wydać rozkaz do podniesienia kotwicy, a łódź, która miała odwieźć panią Vansittart do nadbrzeżnego miasta na przylądku »Dobréj nadziei” chwiała się tuż przy okręcie.

»Rozstańmy się! — Wytrwaj córko moja! Zbliża się chwila, któréj tak gorąco pragnęłaś, i która zawiedzie cię w ramiona kochanka”—rzekła matrona do dziewicy na pół omdlałéj i rzewnémi łzami zalanéj. Chociaż matka w ten rozstanek wszystkie siły swoje w pomoc brała;, poznać było jednakże po drżącym jéj głosie, jak ją to rozstanie, boleśnie przejmowało.

Jeszcze raz przycisnęła córkę do serca, jeszcze raz ucałowała ją w usta i w czoło; poczém wyrwała się jéj z ramion, i chwiejąc się, chwyciła silną dłoń majtka, który ją z pokładu okrętowego, po zwisłych sznurowych schodach do łodzi sprowadził.

W téjże chwili ozwał się głos kapitana, i wnet zaskrzypiała korba kotwicy, i rozległ się jednogłośny przeraźliwy wykrzyk, ozwało się odętlnienie opierających się silnie o pokład okrętu majtków, wynurzających z dna morza, na powierzchnią wody, kotwicę.

„Bywaj zdrowa matko! — Bywaj zdrowa na wieki!” — zawołała boleśnie, rozrzewniona Ema, przechyliwszy się nad poręcze galeryi okrętowéj i rozwarłszy ramiona nad chybką łodzią, która zwolna po garbionych falach, unosiła matkę.

„Rozwinąć żagle!” zagrzmiał znowu silny głos kapitana. Wnet zaskrzypiały reje, a po masztach rozwinęła się ćma rozdętych płócien. Wiatr świeży południowo-zachodni powiał, a okręt poczuwszy silny pocisk żagli — jak ptak, którego nazwę nosił— poleciał rozprężonémi, olbrzymiémi skrzydły w północno-zachodnią stronę.

Pani Vansittart była wdową po niższym urzędniku na przylądku „Dobréj nadziei.” Pobierała mierną pensyję; a chociaż położenie jéj nie było świetne, miała jednakże dostateczne utrzymanie, które dozwalało jéj zająć się umysłowém wykształceniem swojéj jedynaczki. Ema mogła mieć wtedy zaledwie lat 15, gdy mała angielska eskadra powracająca z mórz indyjskich, przybiła do ostoi przylądku „Dobréj nadziei,” i tamże przez niejaki czas na kotwicy stała. Na jednym z tychże okrętów służył młody Karol Rodgers. Byłto *midshipman*, podkapitan okrętowy, młodzieniec 20-letni, który spokrewniony z rodziną Vansittart, odszukał wdowę, i został mile w jéj domu przyjętym. Wkrótce stał się codziennym gościem, gdyż nad przyjemne wrażenie, które sprawiła uprzejmość kuzynki na młodym żeglarzu, działała daleko silniéj piękność młodéj, jak pączek róży rozwijającéj się Emy.

Pani Vansittart patrzyła z macierzyńską radością na wzmagającą się coraz bardziéj skłonność tych młodych ludzi. Karol Rodgers byłto młodzian niezepsutych obyczajów, lubiony i szanowany od przełożonych, tak dla sprawowania się swego, jak i dla gorliwego zamiłowania służby. Nie był on bez ma-

jątku, a przytém czekało go niezawodnie świetne wyszczególnienie. Matka więc uradowała się serdecznie, kiedy młodzieniec wyznał jéj swą miłość do Emy, z tém zapewnieniem, iż, za osiągnieniem wyższego stopnia, prosić będzie o rękę jéj córki. Co właśnie stało się teraz. Rodgers posunął się wkrótce na wyższy stopień. Bywszy niedługo najmłodszym oficerem na fregacie, po odznaczeniu się przeciw malajskim rozbójnikom w indyjskich morzach, dostał dowództwo korwety „*Orzeł*" zwanéj, i wkrótce zgłosił się listownie o rękę Emy. Poczyniono ku temu wszelkie potrzebne przygotowania, i już Rodgers oznajmił był o swém wnet nastąpić mającém przybyciu na przylądek „Dobréj nadziei," gdzie ślub miał się odbyć; gdy oto nadszedł list drugi, a młodzieniec doniósł, że okręt jego otrzymał inne przeznaczenie, i że obecnie bawi on jeszcze w *Cap-Coast-Castle*, na wybrzeżu afrykańskiém; za dwa miesiące jednakże ma odpłynąć do *Kuby*, i tam jakiś czas pozostać. Prosił więc usilnie, aby Ema albo na przylądek *Cap-Coast* lub do Hawanny przybyła, ponieważ inna pora sposobna, w któréjby zaślubić się mogli, nie tak łatwoby się zdarzyła. Miłość spowodowała dziewczynę do powzięcia szybkiego postanowienia. Podróż do przylądku *Coast* nie była zbyt daleka, w 14 dniach można było ją odbyć, matka zaś zgodziła się na to tém chętniéj, że dawny znajomy jéj męża, powszechnie poważany kapitan okrętowy Jérzy Hobson, dowodzący dużym trzymasztowym kupieckim okrętem, mając płynąć do *Cap Verda*, zamyślił także zawinąć do przylądku *Coast* i *Liberia*. Lepszéj sposobności nie mogła matka powierzyć córki swojéj. Okręt i dowódzca równie byli słynni, Anglija zostawała z całym światem w swobodném przymierzu, przejazd był krótki. W najgorszym razie, którego się obawiano, mógł Karol Rodgers odpłynąć z przylądku »Dobréj nadziei" do Hawanny, bo dwa miesiące już upłynęły; ale i w tym razie obiecał kapitan Hobson zaradzić. Przyrzekł bądź na przylądku *Coast*, bądź na przylądku *Liberia*, lub w najgorszym razie, na przylądku *Capo Verde* postarać się o pewną sposobność, którąby Ema dostała się do Hawanny.

Nie pozostawało więc nic do obawy w téj mierze, a matka i córka miały się za szczęśliwe, że im zdarzyła się tak pomyślna sposobność do odbycia podróży.

Miasto przylądkowe zamierzchło już dawno, w oddaleniu tylko długi grzbiet góry, jak modra chmura na widokręgu, szarzał się jeszcze, nim Ema uspokoiła się do tego stopnia, iżby mogła była rozgościć się na okręcie. Kapitan Hobsou nie przesadzał wcale, nazywając swego „Kondora" zgrabnym, wygodnym okręcikiem, a rozstaniém zasmucony umysł dziewicy, wypogodził się znacznie, skoro kapitan z uprzejmością, na jaką surowe jego oblicze zdobyć się mogło, zaprowadził ją w mały, piękny, i dość zgrabnie urządzony pokoik, który, jak się kapitan wyraził, miał jéj służyć na czas żeglugi, za pomieszkanie. Tu zamknęła się Ema na kilka godzin, zostawiając wolny bieg łzom swoim; wnet jéj oznajmiono, że kapitan Hobson prosi ją do do stołu. Przy stole zastała Ema trzech towarzyszów. Najpiérwszą osobą był kapitan 50-letni, spokojnego umysłu mężczyzna. Uczciwe, chociaż nieco proste rysy twarzy jego, wpajały zaufanie. Lice wiatrem i zmienném powietrzem zczerwienione, duże szorstkie ręce, żeglarskie wyrazy, których Hobson używał, kiedy, co rzadko się zdarzało, w rozmowę się zapuszczał, świadczyły, iż większą część życia swego, na deskach okrętowych, a nie w miejskich salonach, spędził. Piérwszy sternik »*Kondora*« siedzący tuż przy kapitanie, równał się wiekiem, powierzchownością i obejściem się, swemu przełożonemu, ale różnił się gadatliwością, któréj się oprzeć nie mógł. Gdy Ema w myślach o matce zatopiona, milcząc zdawała się przysłuchywać jego rozmowie, mocno mu to schlebiało, i powziął o sobie korzystne mniemanie, które dość niezgrabną grzecznością wynurzał. W téj niezgrabności jednakże przewyższał go trzeci towarzysz, podróżujący kupiec. Był on jednym z tych nieprzeliczonych egzemplarzy swego rodzaju, jakich mnóstwo na parowych okrętach, żelaznych kolejach i pocztowych wozach, każdym razem znaléźć można. Chwalił się nieustannie, kłamał cokolwiek, nosił duże faworyty, lubił aksamitne kamizelki, połysne szpinki na piersi, i złote łańcuszki u zegarków, chwytał przy stole najlepsze kąski, i dawał do zrozumienia, że w miłości był i przedsiębierczy i szczęśliwy; a chociaż wkrótce się przekonał, że z piękną towarzyszką podróży, nie dojdzie do tego wcale; zachował jednakże niejakie dobroduszne grzeczne ułożenie, i przed odejściem od stołu, wiedziała już Ema, że nazywa się John Smith, że mieszka w Londynie przy ulicy Norfolk pod N. 27, że jedzie do Europy, i kupczy palmowym olejem.

Piérwsze dni podróży przeszły dość jednostajnie. Nie można było życzyć sobie pomyślniejszego wiatru i piękniejszéj pogody Ema stojąca na pokładzie, przypatrywała się latającym rybom, tymto morskim ptakom, a czasami i potworom z rodzaju wielorybów, które wypryskując nozdrzami zdroje wody, pojawiały się w pobliżu okrętu; lub przysłuchywała się z uwagą opowiadaniom piérwszego sternika, który, jak wielu tego rzemiosła, był cokolwiek zabobonny, a na którym p. John Smith, nieustannie swój dowcip ostrzył. Sternik rozprawiał wiele o »*latającym Holendrze*", jak za zjawieniem się tegoż musi najlepszy okręt koniecznie śród burzy pójść na dno morskie; jednakże dla

odjęcia Emie obawy spotkania się z tym strasznym okrętem, dodawał, że go widywano tylko pod pewnym stopniem od przylądku „Dobréj nadziei,” który to stopień, już szczęśliwie minęli.

Surowy i milczący kapitan, przysłuchywał się spokojnie téj baśni; niecierpliwy John Smith, jako ateusz, wzruszał z drwiącym uśmiéchem ramionami, i pogłaskiwał sobie kiedyniekiedy z upodobaniem włosy szczoteczką; co wszystko rozrywało na chwilkę smutne myśli tęskniącéj za rodzinnym domem dziewicy.

Tym sposobem odbywała się podróż morska, aż dopóki zwrotnik nie miniono. Co dzień sprzyjała pogoda, i wiatr dął pomyślny, a zajmująca rozmowa, czas przyjemnie skracała. Kapitan Hobson, chociaż zwykle milczący, opowiadał jednakże nieraz o swych podróżach na południowém morzu, sternik o przypadkach i rozbiciach okrętu, John Smith o zwycięztwach które odniósł w gotowalniach lub na łowach; był on bowiem podług własnego mniemania zawołanym myśliwym. Skoro „*Kondor*” zwrotnik pominął, odmienił się nagle wiatr, zmieniła się pogoda, a żegludze ubyło na przyjemności. Nie tylko że okręt walczył ciągle z przeciwnémi wiatry, ale burze i rwące prądy, dały mu dość do czynienia. Osada okrętowa pracowała z największém natężeniem nad zwalczeniem tych przeszkód. Jeżeli kapitan Hobson zwał swego „*Kondora*” zgrabnym i dobrze opatrzonym okrętem, ściągało to się bardziéj na wewnętrzne urządzenie niż na budowę tegoż. Ten okręt byłto stary gmach, nadzwyczaj szeroki, tonął głęboko, żeglował bardzo powoli, i był trudny do kierowania. Jednakże temu wszystkiemu można było łatwo zaradzić liczniejszą osadą, któréj właśnie brakowało; kilku bowiem chorujących na febrę majtków, musiał kapitan Hobson, na przylądku „Dobréj nadziei” zostawić, a nie mogąc zaciągnąć nowych, nie bardzo też starał się o to, tusząc sobie, że na przylądku *Coast*, powiedzie mu się zrekrutować znaczną liczbę Murzynów, ludzi tęgich i wielce do żeglugi przydatnych. Ema byłaby bynajmniéj niewiedziała o stanie w jakim zostawał okręt, i byłaby dzień w dzień nieprzyjemniejszą i burzliwszą żeglugę miała za wypadek połączony koniecznie z każdą dłuższą podróżą morską; lecz sternik wygadał się z tém przed kupcem, a ten chcąc błysnąć swém światłem przed Emą, udzielił jéj treści rozmowy, niby jako wynikłości własnego doświadczenia. Przy nieustających burzach wzmagała się w Emie coraz większa obawa, lecz nie wyjawiała jéj nikomu. Kapitan, byłby ciągle milczał, sternik byłby nieustawnie prawił o przypadkach, które zawsze coś przepowiedziało; John Smith byłby zawsze rozwodził się o swojéj przytomności umysłu, jaką gdzieś tam lub owdzie w podobnych okazał przypadkach; gdyby tylko nie te gwałtowne, olbrzymie, piętrzące się bałwany morskie, które z okropną siłą uderzały ciągle w trzeszczące boki okrętu i więziły Emę w jéj pokoiku. Ema spostrzegała z niejakiém uspokojeniem, że kapitan Hobson spokojnie i bez wrzawy, czynił to wszystko co do tęgiego i doświadczonego dowódcy okrętu należało. Od kilku dni nie spał, i ani na chwilę nie oddalił się z pokładu, opatrzył wszystko od szczytów masztowych, aż do luk działowych, ażeby zapobiedz wcześnie przygodzie i zatamować ile można, na dnie okrętu wciskanie się wody. Ema od kilku dni nie postała nawet na pokładzie. Obawa, aby ją bijące i rozpryskujące się bałwany nie zmoczyły, trzymała ją w głębi okrętu, w jéj kajucie; wprawdzie niepokoiło ją tam bardzo parne powietrze, i nieustanne trzeszczenie i skrzypienie ścian, zgiełkliwe suwanie się nieprzymocowanych sprzętów; ale gdy usłyszała przy wzmagającéj się ciągle burzy, brzęk łańcuchów tuż przy pokoju swoim, i przeraźliwe głosy majtków; wybiegła wylękniona na pokład. Zastała tu sternika, kapitana i Johna Smitha w żywéj rozmowie.

Z trwogą zpytała: co oznacza ta wrzawa?

„Pompują wodę, szanowna pani” — odrzekł sternik ze zwykłą gadatliwością. „Widzisz pani, nasz stary „*Kondor*” dobryto okręt, ale gdy mu wypadnie roztoczyć skrzydła, gdy płynie z rozpiętémi żaglami, lubi się cokolwiek wody napić.”

„Zdaje się: że dziś wiatr nie bardzo sprzyja naszéj żegludze” — rzekł John Smith do kapitana, który na to pytanie prawie nieznaczném skinieniem głowy odpowiedział. „Żeglowałem ja nieraz podczas daleko większéj burzy na morzu.” — „Burzy?” przerwał mu gniewnie sternik. ”Gdzież tu jest burza? Wszakto tylko trochę wiatru przeciwnego; że się z nim spotkamy, wiedziałem już o tém, puszczając się w piątek na morze.”

„Ej, gdzież tam” zawołał John Smith przeglądając się z upodobaniem w źwierciedle i głaszcząc szczoteczką faworyty, i modnie ułożone włosy. „To są przesądy! Zabobony! Żyjemy przecież w czasach oświaty!”

”Daj temu pokój panie Smith!” — rzekł sternik z pogardą. Wiem ja cokolwiek, a co wiem, nie nabyłem tego w szkole, tylko na deskach okrętowych, a to od prostéj łodzi, aż do dwu-pokładowych okrętów. A cóż stało się z brygiem „*My Frouw van Halen*”? Kapitan Janson śmiał się, kiedym go przestrzegał, aby się nie puszczał bez potrzeby w piątek na morze, a w dwóch tygodniach późniéj, nachłeptał się z ludźmi swymi tak słonéj wody, że mu śmiać się odechciało. Okręt jakby dom z ołowiu, poszedł u przylądku „*Delgado*” z kretesem na samiuteńkie dno morskie! ”

„Spodziéwam się przecież” rzekł nieco strwożo-

*

ny John Smith, przerywając swą gotowalnię »iż pan, nie chcesz przez to powiedzieć, że....”

„Ja powiadam tylko, coby starsi odemnie powiedzieli żeglarze, bo ja dopiéro przed 20 laty jako chłopiec kajutowy puściłem się na morze. Ja powiadam, iż są oznaki, że bardzo ciężką będziem miéć przeprawę» dodał z powagą. »Bo z czegoż sądzić żeglarzowi, jeżeli nie z doświadczenia? Wszak pan mi nie zaprzeczysz, że kiedy delfin pojawia się często na powierzchni morza, kiedy się rzuca i ogonem w powietrzu macha — kiedy nawet wieloryb, ta ciężka, niezgrabna bryła, pocznie koziołki przewracać, a morskie ptactwo przeraźliwie wrzeszczéć, pewnie już się zbliża burza. Wszak właśnie widzę tutaj kureczki matki *Carey*. Cóż u licha — tożto całe tam stado!”

Ema i John Smith spojrzeli ku stérowi, w którąto stronę stérnik był ręką wskazał, i ujrzeli tam stado, z 50 lub więcéj białawych ptasząt, podobnych do jaskółek. Bujały one to w dół to w górę po nad powierzchnią morską, i zawrzały często piskliwym głosem, a niektóre z nich zanurzały się lotem błyskawicy w pianie prądu wznieconego chyżym biegiem okrętu, i zdawały się łowić nadwodne owady. Byłoto ptactwo zbyt ułaskawione, latało tak nizko nad okrętem, że go kamieniem można było dosiągnąć.

„Jak pan te ptaki nazywasz?” — zapytała ciekawie Ema.

„Żeglarz zwie je kurkami matki *Carey*. Uczeni, zdaje mi się, zwą je małémi zwiastunami burzy. Skoro się pojawią — nadtoczy się niezawodnie wielka burza.”

„Co? te niewinne, te śliczne zwiérzątka, miałyby zwiastować nieszczęście?”— odpowiedziała Ema z uśmiéchem. »Patrz pan tylko, jak są niepłochliwe — jak miło, na kształt słupa komarów, i w dół i w górę wiją! Patrz! Tam oto na masztowym reju, usiadło jedno bez najmniejszéj trwogi.”

„Wolałbym widziéć pięćdziesiąt żarłocznych hajów, wtaczających się na okręt, niż te złowrogie ptaki, których śliczność tak się pani podoba!” — odparł żeglarz wstrząsając głową.— »Bywają jednakże chwile, w których żeglarz życzy sobie je obaczyć. Jakto było przed trzema laty kapitanie, kiedyśmy się dniem przed wielką burzą, na wybrzeżu afrykańskiém, na przeciw wiatru, sześć mil morskich, od głębizny Hatteras, znajdowali! Musisz wiedziéć szanowna pani...”

Nagle zagrzmiały zpoza mówiącego, dwa strzały. Pan John Smith — lubo gardzący wszelkiémi przesądy, usłyszał był z jakąś trwogą zapewnienie, że te ptaki są zwiastunami nieszczęścia; a gdy całe stado ledwie o cztéry lub pięć łokci od stéru śmiało jak swojskie gołębie, ciągle w powietrzu tam i sam bujało, a dobra zdarzyła się sposobność popisania się przed Emą sztuką strzelecką; pan John pospieszył coprędzéj do kajuty, wyniósł swą dubeltuwkę i ubił dwa ptaki, które drgając upadły w wodę. Poczém obrócił się z tryjumfującą twarzą do towarzystwa.

»Ach! wolałbym, żebyś razem ze swym przeklętym szturmakiem, na sześć lin głębokości, na dnie morza leżał!” zawołał rozgniewany żeglarz, wymierzywszy na zdziwionego strzelca groźne wejrzenie. »Otóż mamy!” dodał strapiony, patrząc na stado ptaków, które przestraszone strzałem, okrążyło z krzykiem parę razy okręt, a potém wzbiwszy się wysoko, za chwilę zniknęło w głębi obłoków.

»Bóg wié, czy je kiedy już zobaczymy; jeżeli nie, tém gorzéj dla nas!” — rzekł po chwili smutnym głosem stérnik.

Pan John Smith, który zamiast pochwały swéj zręczności, na którą liczył, odebrał tak ostrą naganę; zmieszał się tembardziéj, gdy spostrzegł, że sam kapitan Hobson spojrzał na niego surowo; nie śmiał przeto zapytać się, coby złego swoim strzałem zrobił? Ema wywiodła go z pomieszania, zapytując o to pomrukującego ciągle stérnika.

»Jak mówiłem ci już, szanowna *Miss*” odrzekł tenże, kurki matki *Carey*, sąto niezawodne zwiastuny nadciągającéj burzy. Słyszałem to od starszych żeglarzy — ja nie chcę o tém sądzić, niech sobie każdy myśli, co mu się podoba; mówią, że to są dusze żeglarzy topielców, które przestrzegają towarzyszów przed zbliżającém się niebezpieczeństwem. Naturalnie, nie radzi widzimy tych przybywających posłów, lecz jeźli się już raz pojawią, strzeżmy się im jaką krzywdę wyrządzić, gdyż w takim razie nieszczęście niezawodne. Kiedym przed dziesięcią laty na „*Jednorożcu*„ płynął z Liwerpolu do Bostonu, ubił któryś z majtków na poślednim żaglu, takąż samę mewkę, co tam sobie była usiadła zmęczona, a w trzy dni późniéj stał już nasz piękny okręt u wybrzeża Ameryki, jako tułów z masztów ogołocony.”

„Wieje nadto wiatr zachodni; dziś w wieczór zdążymy do wysokości przylądku *Negro*, a tam oto w czarnéj chmurze, już kipi burza” — rzekł kapitan, dotychczas milczący. „Trzeba nam ściągnąć żagle, i wyjść więcéj na otwarte morze.”

Stérnik i dowódzca okrętu odeszli dla wykonania tego obrotu.

„Zabobon! politowania godny zabobon!” rzekł John Smith, gdy się ci obadwaj oddalili, ale głos jego był już chwiejący i nie tak pewny, jak wprzódy. »Rzecz dziwna, co się w tych nieukształconych głowach marzy. Zjawienie się tych ptaków ma przepowiadać burzę, a strzał do nich, sprowadzić nieszczęście! Niech to panią bynajmniéj nie zatrważa! I owszem roztrząśnijmy tę rzecz filozoficznie, jak to

ludziom wykształconym i bez przesądów, przystoi — a ujrzysz pani....»

»Nie trwożę się tém wcale, a filozofija moja, nie sięga wyżéj nad pończochę»— przerwała mu z uśmiéchem Ema. »Że ptaki przed zbliżającym się wiatrem ulatują, i na okrętach szukają schronienia, mam to za rzecz bardzo naturalną, ale żeś pan zabił niepotrzebnie dwoje tych niewinnych źwierzątek, jestto okrucieństwem; zresztą przypominam sobie, żem gdzieś czytała o podobném mniemaniu żeglarzy, jakie nam sternik opowiedział. Jeźli się nie mylę, było tam dodane, że powrót tych ptaków znosi przekleństwo, które odlatując, na okręt sprowadziły.»

„I sądzisz pani — pytam się jedynie dla tego, żeś strzał mój nazwała okrucieństwem — iż te wcielone diabły, znowu przylecą?» zapytał John Smith niepewnym nieco głosem. —„Ha, i któż to może wiedzieć» odrzekła Ema, śmiejąc się z jego trwogi.— »Dobrzeby to było, gdyby kurki matki *Carey* na pana jaką małą karę.....»

Nagle oniemiała Ema. Ogromny, ciemny bałwan, toczący się z zachodu, uderzył z grzmotem w przód »*Kondora*» i spiętrzywszy się o kilka stóp nad przedpiersie okrętu, złamał się z pluskiem na pokład, i zalał go potopem piany.

Ema spostrzegłszy zbliżający się bałwan, chwyciła się spieszno ściany, lecz pomimo tę przezorność, została od głowy do stóp przemoczoną.

Gorzéj niż jéj, powiodło się panu John Smith. Bałwan rzucił nim o pokład i uniósł mu w morze wyszywaną złotem podróżną czapeczkę, która go, jak późniéj z żalem zapewniał, półtora funta kosztowała, i w którę się dla przypodobania Emie, był ubrał.

»Widzisz pan, że kurki matki *Carey* w swojéj zemście są bardzo czynne» rzekła Ema z uśmiéchem, wyciskając wodę z pięknych loków i schodząc do kajuty.

„Cobym nie dał za to, gdyby te diabelskie ptaki, znowu tu nadleciały,» rzekł spłukany John Smith. „Bóg wié, co nas téj nocy jeszcze czeka!»

To rzekłszy udał się wzdéchając za piękną towarzyszką podróży.

Obawa Johna Smitha zaczęła się coraz bardziéj sprawdzać. Z postępowania kapitana, chociaż podług zwyczaju swego mało mówił, można było wnosić, że i on nie był bez obawy. Długi czas patrzył w swoje żeglarskie książki. Poglądał często na mapę morską; poczém postawiwszy jeden palec na jednym, a drugi na drugim punkcie, rzekł do sternika ze znaczącém spojrzeniem: »Przylądek *Negro*!» i zaraz obadwa wyszli na pokład, a wolniejszy bieg »*Kondora*» dowiódł: że płynie mniejszą liczbą żagli.

Nadchodząca noc była okropnie ciemna, a morze srożyło się coraz bardziéj. Chociaż okręt płynął tylko niektóremi żaglami, jednakże fale tak nań silnie parły, że musiano wziąć się do pompowania, gdyż dość stara budowa okrętu nabierała w takich razach łatwo wody. Wiatr żegludze już sam przez się nieprzyjaźny, stawał się tém szkodliwszym, że dorywczo a przeto tém silniéj w okręt uderzał. Zdawało się czasami, że okręt nagle w biegu stawał, wtedy wszystkie fugi trzeszczały, statek wzniósł się niezwykłym sposobem w górę, przód jego zanurzył się na kilka chwil w wodę, a potém znowu, ale jeszcze wolniéj niż wprzódy, w dalszą drogę płynął. Kapitan Hobson stał z ludźmi swymi ciągle na pokładzie. Ich zachowanie się było ponure, twarze surowe, nawet gadatliwość sternika zamilkła. Na zachodzie zgęszczały się coraz bardziéj chmur bałwany, coraz wyżéj dźwigały się fale, i coraz srożéj szalała burza.

„Sir» rzekł sternik cicho do kapitana — „już od dwóch dni jesteśmy miotani. Przy takim wietrze niezdołamy przybić do przylądku *Negro*. Ja, na miejscu twojém, starałbym się na opór pójść burzy, i wsteczbym się puścił.»

„Już za późno» — odparł Hobson, wskazując ręką na zachód. Wtém, lotem błyskawicy nadtoczyły się bałwany mgły, i zaległy powierzchnią wody.

»Obrócić reję przedniego masztu! Spuścić linę tylnego żaglu!» zawołał kapitan piorunnjącym głosem.

Z największą gorliwością rzucili się majtkowie do lin. Wytężono wszystkie siły, lecz gnuśny okręt z wielką tylko biédą opuszczał swój prąd, chociaż sam stary sternik ujął drąg u stéru.

Rozkiełzana wściekłość orkanu biła teraz niepohamowanie całą siłą w bok okrętu, który nie dał się przed wiatr skierować. Dwakroć ugięły się maszty prawie aż do powierzchni wody, dwakroć podniosły się znowu, za trzecim razem spadły z trzaskiem w morze.

»Odcinać! Odcinać nożami i toporami!» — zawołał Hobson głosem donośniejszym od burzy. Przewalone maszty łączyły się już tylko linami z okrętem. Okropne uderzenie powaliło go, już leżał bokiem na wodzie.

Po odcięciu ostatniéj liny, podniosł się okręt znowu, i jakby mu żadna przeszkoda w drodze nie stała, posuwał się wolnym pędem daléj.

Po téj strasznéj scenie, nastąpiła okropna cisza. Nikt ust nie otworzył. Załoga stała nieruchoma. Sternik przerwał najpiérwszy milczenie.

»Trzech wpadło w morze» przemówił do Hobsona. „Gdyby się burza uśmierzyła, możnaby wznieść mały maszt, i podążyć do któréj z osad portugalskich.»

„Napróżno” odparł Hobson. — „Nim się tam dostaniem, będziemy o brzeg rzuceni. Tam„ — dodał po niejakiej chwili, i wskazał na wschód, gdzie dnieć poczynało. »Tam oto przylądek *Negro*!”

Długie pasmo lądu pojawiło się powoli; wzniosło się potém do znacznéj wysokości, która tworzyła wchodzący w morze przylądek.

Największa wściekłość burzy uspokoiła się na pozór — ale wiatr dął gwałtownie, i nie dopuścił wznieść masztu zasobnego.

W chwili, kiedy prąd wiatru rzucił maszty w wodę i okręt przechylił na bok, Ema znajdowała się tylko z panem Smith w kajucie. Trwoga jego była okropna. Płakał i modlił się głośno, przeklinając nieszczęsną chętkę strzelania, i przypisując temu wypadkowi nieszczęście, które okręt poniósł, i które jeszcze mu zagrażało. Prędzéj — jeżeli tym razem ujdzie zdrów z życiem, — mówił on, — prędzéj wymierzy strzelbę na człowieka, niż na ptaka burzy, którego najmniejsze piórko, będzie mu na przyszłość świętością! Ponieważ morze zdawało się stopniowo uspokajać, wyszła Ema wraz z towarzyszami podróży na pokład. Brak masztów, strapienie i ponura rozpacz wyryta w twarzy kapitana i całej osady, świadczyły wyraźnie, że trwoga nie ustała jeszcze. Panujący wiatr zachodni, i wały toczące się, pędziły *Kondora* coraz bliżéj do ledwie o dwie mile morskie odległego lądu. Wzniesienie zasobnego masztu, którém się czeladź okrętowa zajęła, stało się wkrótce niepodobieństwem. A gdyby nawet to się było udało, nie można było jednak lawirować przeciw wiatru. Innego zaś sposobu nie było, ażeby oddalić się od brzegu, bo przylądek *Negro* zamknął już drogę na północ.

Tymczasem zbliżało się wybrzeże coraz więcéj. Już widać było, jak wrzące fale, pietrząc się w znacznéj wysokości, łamały się okropnie o skaliste brzegi. Ich huk podobny był do dalekich grzmotów. Wprawdzie było jeszcze jedno miejsce, około sta sążni wzdłuż brzegu, od natarczywości rozhukanych fal wolne, bo w tém miejscu wpadała rzéka do morza; ale wpłynąć tam, było niepodobieństwem; gdyż rzęd piaskowych progów, które wznoszące się i upadające naprzemian fale, to zatapiały to odsłaniały; wzbraniał przystępu. Można było na ostateczność, mimo przeszkody, znaleźć jeszcze pomiędzy témi progami, kilka głębin do przejścia; ale wyszukać je, i odpionować na wzburzoném morzu łodzią, stawało się niemożnością, a tém mniéj wprowadzić tam ciężko-ładowny statek.

»Tu zarzucimy kotwicę” rzekł kapitan Hobson, „a jeżeli się zahaczy, a burza ucichnie, może się jeszcze uratujemy.”

Kondor płynął zwolna ku mieliznom. Czeladź wzięła się do kotwicy i linew.

»Halo! Weź-no się i pan także do roboty!” — wrzasnął sternik potrącając Smitha ku majtkom. »Tu musi każden razem z drugimi wziąć się do pracy, bo tu idzie o każdego skórę »

Obrot wykonano. Kotwica zatonęła. Jęła się gruntu. Promyk nadziei pojawił się na twarzach majtków, sam tylko kapitan niezdawał się tém pocieszać.

„Jak pan kapitan sądzisz?” — rzekła Ema. »Gdy się burza uspokoi, przyjdąż nam z tych brzegów w pomoc?”

Zapytany potrząsł smutnie głową.

„Jako? miałożby to wybrzeże być bezludne?” zapytała Ema.

„Bezludném ono nie jest” odrzekł kapitan —„ ale mieszkańce są to ludzie obrzydliwéj rasy, zepsuci do reszty przez handlujących niewolnikami, którzy tu swoje targi mają. Gdyby ten brzeg był bezludny, przy najmniejszym pomyślnym wietrze wprowadziłbym okręt w jaką zatokę, a postarawszy się o zastąpienie czémkolwiek masztów, zwróciłbym wstecz, ale tak.....”

„Czy nie możnaby łódź wysłać na ląd, dla ułożenia się z mieszkańcami?”

»Czemuż nie, gdyby czeladź okrętowa była w większéj liczbie, albo gdyby mi przynajmniéj trzech najlepszych majtków téj nocy nie było zginęło. W takim razie byłbym kazał kilka beczek rumu na pokład wytoczyć, i obiedwie szesciofuntówki kartaczami nabić, a to byłby jedyny sposób przystąpienia do układów z Murzynami. Ale to wszystko teraz na niby się nie przydało, mając zaledwie tyle tylko ludzi, ile do podniesienia kotwicy, koniecznie potrzeba, a przeto o obronie ani myślić możemy.”

»Mnie tylko dziwi” — dodał sternik — „że tych czarnych diabłów dotąd jeszcze nie widać. Zwyczajnie bywa, iż skoro się tylko pojawi okręt, i jest w niebezpieczeństwie, już się na brzegach roją tłumem małpie twarze, i czekają niecierpliwie chwili, w którejby go złupić mogli. Ależ do wszystkich czartów! Otoż i oni.”

Wszystkich oczy zwróciły się ku ujściu rzéki.

Łodzie przepełnione czarnémi postaciami, płynęły w największym nieładzie. Dzikiéj radości okrzyki Murzynów mieszały się z łoskotem fal, odbijających się o wybrzeże.

”Ach! Boże ratuj nas! zginęliśmy wszyscy!” wykrzyknął John Smith załamując ręce.

„Gdybym miał tylko dwudziestu dzielnych chłopców na pokładzie, przyjąłbym ja tych łotrów jak należy” mruknął Hobson pod nosem. „Teraz nic nam nie pozostaje, jak tylko statek i nas wysadzić w powietrze, albo czekać cierpliwie rabunku.”

»Tak, tak, cierpliwie czekać!” błagał John, biegając bez duszy po pokładzie.

»W najpomyślniejszym razie, nic nam oni nie pozostawią, jak tylko to, co mieć będziemy na sobie!« dodał kapitan spokojnie. Pójdźcie więc chłopcy« rzekł zwracając się do majtków. »W skarbówce mam jeszcze worek z suwerendorami, rozdam je pomiędzy was, bo teraz i tak wszystko czarci zabiorą! Ukryj pani i miéj przy sobie, cokolwiek masz droższego. Gdy się czarnym zdamy na łaskę, a ci nie popiją się wprzód, nim jeszcze na ląd wysiądziemy, więc poprzestaną tylko na samém zrabowaniu zapasów okrętowych.«

Ema i towarzysz jéj pobiegli co żywo do swoich rzeczy. Dziewica ukryła swoje klejnoty, pieniądze i potrzebne papiéry, a potém wraz z drżącym i jęczącym towarzyszem wyszła na pokład. Tu zastała już kapitana i zgromadzonych majtków. Stali gotowi z otwartą beczułką rumu, do przyjęcia Murzynów, którzy już się byli zbliżyli o dwa lub trzy wystrzały karabinowe do okrętu. Byli nadzwyczaj czarnéj barwy, uzbrojeni w piki, strzały i łuki. Łodzie zbliżały się tłumnie przy odgłosie piekielnych wrzasków. Na jednéj z tychże pomiędzy nagiémi postaciami, stérczał wielki stosowany i galonowany kapelusz z czarnym strusim pioropuszem.

»To Europejczyk!« zawołała Emma radośnie.—»O nie!« odparł sternik —»To naczelnik tych tu orangutanów; przez handlarzy niewolnikami, przyszedł on zapewne do tego znaczenia. W takiéj odległości najlepiéj byłoby powitać ich kartaczami, nieprawdaż kapitanie? Ach, szkoda wielka, że nie możemy się im przysłużyć!«

Łodzie oparły się o burty *Kondora*, a jakby trzoda małp, leźli rojami Murzyni na statek. Nié minęło chwil kilka, a już więcéj niż dwieście czarnych kędzierzawych, palmową tłustością świecących się postaci, podobniejszych do małp niż do ludzi, uwijało się skrzętnie na pokładzie okrętu.

Wszyscy byli krępi, średniego wzrostu, z małémi rękami, széroką stopą na cieniutkich nogach. Z nimi wszedł na pokład Murzyn około piędziesiąt lat wieku, figura nadzwyczajna; włos jego, podobny do wełny, przykrywał ów kapelusz z galonem, a gołe prawie ciało stary niebieski mundur za złotémi grubémi szlifami, ale widocznie zdarty z rośléjszego, bo mu sięgał aż po łytki; gołe piszczele przykrywały pofałdowane spodnie z jakiegoś majtka obrane. Kapitan Hobson z pokorną i kwaśną miną szédł ku niemu, trzymając kapelusz w jednéj, szklankę rumu w drugiéj ręce.

»*Bon jour! — Welcome! — Buenvenido* Senor!« — zawołał czarny, sięgnął po szklankę, i wychylił duszkiem. »Ja król Piotr!«— dodał z taką dumą, zadowoleniem i szczérzącą się przyjacielskością, iżby się był uśmiał, ktoby się był z boku obojętnie patrzył na tę twarz małpią, na któréj się dziwna malowała mieszanina.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 52gi i zawiéra: 1) Odezwa do Redakcyi; 2) Zjawiska przy karmieniu żwierząt dostrzegane, wyjaśnione ze strony naukowéj. (Przez D. Brand.) Dokończenie; 3) Niektóre uwagi dotyczące się gospodarstwa lasowego; 4) Sposoby mechaniczne poprawienia gruntów; 5) Co daje więcej pożytku w hodowli bydła, ziemniaki lub koniczyna? 6) Niektóre uwagi burtnicze; 7) Jeszcze jeden przepis do obsiewania pastwisk dla owiec; 8) O nawozie; 9) O poprawieniu gruntów piaszczystych; 10) Lekarstwo na pyski i racice; 11) Łatwy sposób sadzenia drzewek leśnych; 12) Wiadomości handlowe i przemysłowe; 13) Uwiadomienie redakcyi Tygodnika rolniczo-przemysłowego.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 1szy i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Najnowsze powieści polskie; 2) Sonety do M.... przez J. C. Z.; 3) Ona była niewinna. (Ciąg dalszy); 4) Kronika literacka; 5) Kronika muzyczna; 6) Teatr.

Postępy chrześcijaństwa. Z dwóch przeciwnych stron, z krain pogańskiego jeszcze barbarzyństwa, i z stolicy europejskiéj oświaty, dochodzą nas wiadomości o tryjumfach religii chrześcijańskiéj. — Jak wiadomo, żyją w Rosyi jeszcze mnogie osady pogańskie. W ostatnich czasach jęto się usilnie do nawrócenia ich na łono greckiego kościoła. Między innémi, musieli wszyscy pogańscy Czeremisowie w gubernii Orenburskiéj, w okręgu Birskim, którzy dotąd ofiary z zwierząt bożkom swoim czynili, przyjąć religiją chrześcijańską w obrządku wschodnim. W jednéj wsi ochrzczono naraz 900 ludzi, w innéj 300, a tak wkrótce cała ludność czeremiska będzie wyznawała wiarę Chrystusa. — Drugi tryjumf odniosło chrześcijaństwo w Paryżu, gdzie sławna artystka dramatyczna, panna Rachel, Żydówka, wychrzciła się. Nawrócenie to przypisują głównie wpływowi salonu pani Recamier, zwykłego miejsca zgromadzenia pierwszych kaznodziei paryzkich. W zeszłym miesiącu miał się odbyć chrzest uroczysty, przy którym książę de Noailles i pani Recamier, za świadków służyć mieli. W upominek chrzestny zamówił rzeczony książę u nadwornego jubilera bukiet z brylantów, wartości 50.000 franków. Sam arcybiskup paryzki miał świętego obrzędu dopełnić.

Księgozbiory i dziennikarstwo całego świata. Największémi książnicami kuli ziemskiej są następne: książnica królewska w Paryżu, mająca 650.000 tomów, Mnichowska 500.000, Kopenhagska 400.000, Berlińska 320.000, Wiédeńska 300.000, książnica muzeum brytańskiego 270.000, książnica arsenału i św. Genowefy w Paryżu, książnica Brera w Medyjolanie, i Getyngska, każda po 200.000, Petersburska 100.000. Wszystkie te (12) księgozbiory zawiérają razem 3 milijony 120.000 tomów. — Czasopismów jest na całéj kuli ziemskiéj, podług obliczenia w Balbiego »Rozprawie o literaturze peryjodycznéj»— 3168, z których na Europę przypada 2142, na Amerykę 978, na Azyję 27, na Afrykę 12. na Australiję, czyli Oceaniję 9. — Jest tego wszystkiego razem zbyt wiele, a przecież jeszcze za mało! Zważmy bowiem, iż prawie każda znaczniejsza stolica europejska ma więcéj różnych dzienników, niż cała ogromna Azyja, a zgodzimy się na to, że także w rzeczypospolitéj umysłowéj podobnież uderzająca nierówność panuje, jak i w świecie społecznym.

Doskonałość słuchu. Ślepi uzyskują przez wprawę tak wielką czułość w końcach palców, iż nie tylko kształt ciał, ale często nawet i barwę ich przez obmacanie poznać mogą. Ztądto pochodzi, że ślepi wypukłe pismo czytać mogą, i najtrudniejsze wykonują roboty, do których bardzo dobrych oczu potrzeba. Pewien wychowanek paryzkiego zakładu ochrony dla ślepych, wybrał się obecnie w podróż — jak ją sam mieni — artystyczną, która mu się zapewne nieźle opłaci. Celuje on nie tak dosko-

nałością zmysłu macania, jak raczéj osobliwszą tkliwością słuchu, która do tego stopnia jest posuniętą, iż zdolen jest zrozumieć treść pisma z szelestu pióra, rysującego litery na papierze.

Polityka w parze z poezyją. W Chateaubriand'a »Pamiętnikach o kongresie werońskim« czytamy ciekawą uwagę, iż wówczas przewodniczącymi sprawom zagranicznym ministrami trzech głównych państw Francyi, Anglii i Hiszpanii, byli trzej poeci; we Francyi Chateaubriand, w Anglii Canning, w Hiszpanii Martinez de la Rosa. — Również szczególną jest rzeczą, iż siedmiu członków ostatniego ministeryjum whigowskiego w Anglii, pisało wiersze, i tak: lord John Russel wydał zbiór własnych i tłumaczonych poezyj; lord Morphet dwa poemata dydaktyczne; lord Melbourne komedyję wierszem; lord Holland tłómaczenie kilku trajedyj i poezyj Lopez'a de Vega, Spring Rice poemat filozoficzny, a sir Hobhouse wraz z lordem Glenelg, wiersz pochwalny na cześć odrodzenia się sztuk i umiejętności na Wschodzie.

Z Budy donoszą: »Dawne przysłowie twierdzi: Wiele lekarzy, wiele chorych; wiele nadzoru, wiele złodziei! — Przysłowie to zdaje się być niedorzecznem, ztémwszystkiem ma ono wiele prawdy w sobie. I tak przekonano się, iż odkąd w tutejszych stronach policyję wiejską urządzono, odtąd też kradzieży w takich nawet okolicach się przymnożyło, gdzie one wprzódy do nadzwyczajnie rzadkich zjawisk należały. Mianowicie cierpią na tém poblizkie winnice, z których złodzieje co nocy po kilkaset tyk wykradają.

Rozrywka i nudy. Scena w księgarni. — »Czego pan sobie życzysz?« — »Książek do czytania.« — »Oto są najświeższe nowości, zalecające się treścią i wykonaniem.« — »Nie chcę tego. Nie masz pan jakich bardzo nudnych książek? Czém nudniejsze tém lepsze.« — »Nudnych pan sobie życzysz? Wszakże sądziłbym, iż zabawne zasługują na pierwszeństwo.« — »Widzę iż pan, równie jak wielu ludzi, nie znasz się wcale na użyteczności książek.« — »Jakto? Przecież głównym celem pism do zabawy, jest rozrywka.« — »Rozrywka? Ach, jakże krótkie to życie! a ja mam je sobie jeszcze rozrywać i ukrócać!« — »Ależ rozrywka sprawia umysłowi przyjemność.» — »Powiedz pan raczej, sprawia śmierć przedwczesną. Co do mnie, ja chcę żyć długo, bardzo długo, i dla tego żądam książek, coby mię nudziły. Radbym przedłużyć, rozwlec godziny dnia każdego, nie zaś w minuty je przemieniać. Więc jeszcze raz pana proszę: Daj mi coś bardzo nudnego — czém nudniejsze, tém lepsze!« — Ten jegomość będzie żyć długo, bo mu księgarnie zapewnie dostarczą podostatkiem czego żąda.

Kobiéty i mieszkania — mają wielkie podobieństwo do siebie; mianowicie serca kobiéce, które już dokładnie z miłością się obeznały, podobne są zupełnie do umeblowanych już pokojów, i przez to samo drożéj się wynajmują, niż niedoświadczone jeszcze serca kobiéce, będące do przyjemnego mieszkania podobne, w którém najmujący, podług upodobania urządzić się może. — Młode serce dziewczęce równa się owéj skromnej izdebce, w której wszystkie cztéry ściany, białością niewinności, do swego doczasowego posiadacza się uśmiéchają; jednakże ten biały kolor nie trwa długo; wkrótce powleka on się lekko-różowym tynkiem miłości, ale tynk ten zmienia się niebawem w miłą zieloność nadziei, w barwę najtrwalszą z wszystkich barw; gdyż żółtość zazdrości, razi zbyt jaskrawo, a łagodna niebieska barwa stałości — wcześnie płowieje. — Serca kobiéce i mieszkania, mają to jeszcze wspólne, iż często dla *widoku* zbyt drogo są cenione, i przez to samo długo pustką stoją, albo, zdając się już pewnie być zajętémi, nagle wypowiadane bywają. — Niektóre zaś serca kobiece mają, jak zwykle większa część mieszkań, pokoik z osobnym wchodem do odnajęcia, jeźli główny mieszkaniec, małżonek, w opłacaniu należnego czynszu jest opieszałym.

Entuzyjasta w kłopotach. Namiętny wielbiciel pewnej primadony, pałający żądzą złożenia jéj w równie zalotny jak i niezwykły sposób swych hołdów, kupił śród zimy za nieumiarkowanie drogą cenę bukiet róż kwitnących, i zaczaił się za kulisami, aby ubóstwionéj, natychmiast po jéj tryjumfie na scenie, ofiarną dań swego entuzyjazmu pod stopy rzucił. Stoi więc w kanarkowych rękawiczkach, z kapeluszem w ręku, za kulisą, spragniony końca aktu, trzymając bukiet ostrożnie poza sobą, aby przypadkiem nagłe spojrzenie uwielbionéj, przygotowanéj dla niéj niespodzianki, nie odkryło. Tymczasem jakiś filut, spostrzegłszy co się święci, zakrada się z nożycami i odcina wszystkie kwiaty i pączki tak zręcznie, iż rozmarzonemu entuzyjaście tylko łodyżki w ręku pozostały. Wreszcie spada kortyna, primadona nadchodzi, a uszczęśliwiony marzyciel podaje jéj ze słodkiém przymileniem, w dowód swojéj czci i głębokiego uwielbienia, wiązkę — gołych łodyg! Wystawmyż sobie przerażenie biednego miłośnika!

Dziwne sprzeczności w temperaturze lata zeszłego. Podczas gdy w Europie gorąco gdzieniegdzie do niesłychanego stopnia się wzmagało, była przeciwnie temperatura gorących okolic Azyi południowéj nadzwyczaj nizką. Na wybrzeżach chińskich, między 21 a 31 stopniem szerokości, panowały w lecie tak dojmujące zimna, iż Europejczycy, mieszkający w różnych miejscach portowych, bardzo rzadko zimowe suknie zrzucali, gdy przecież w inne lata najlekszy strój płócienkowy, dokuczliwym się staje. Temu bezprzykładnie zimnemu latu przypisują też zjadliwe choroby, które w Makao, w Kantonie, tudzież innych miastach chińskich, nietylko między cudzoziemcami, lecz oraz i krajowcami, okropnie grasowały. Mianowicie febry nerwowe sprawiły niesłychaną śmiertelność.

Bardzo rozsądnie! Kto w kantonie Walizkim nie ma 25 lat zpełna, temu nie wolno palić tytoniu, chociażby już był żonatym; o ile iż się nieraz zdarzało, że młodzi ludzie dla tego tylko się żenili, aby fajkę palić mogli. W skutek téj pozornéj surowości dzieje się, iż w pomienionym kantonie jest dalcko mniej suchotników, chodzących kościotrupów i młodych starców, niż w innych stronach, gdzie lada podwąsek przez cały dzień cygarowym dymem się wędzi.

Pociecha. Pewien Żydzik skarżył się z płaczem ojcu, iż od innych chłopców mocno pobitym został. »Co ty dbasz o to!« — pocieszył go mądry ojciec — »Wszakże i najkosztowniejsza rzecz świata, pieniądze, są także — bite.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.